

**Paweł Głowacki**

**Wyznania szczerego entuzjasty teatru**

# Moby Gnatowski

Zatelefonował do mnie stary znajomy, amerykański pisarz Herman Melville, i kategorycznie oświadczył, że po obejrzeniu wyreżyserowanych przez Jerzego Stuhra „Wesołych kumoszek z Windsoru” zmienia tytuł swojej legendarnej powieści. I rzeczywiście. Nie mamy już „Moby Dicka”, mamy „Moby Gnatowskiego”. Decyzja Melville'a wydaje się całkowicie usprawiedliwiona. Jest oto w przedstawieniu małownicza sekwencja, kiedy to dostojnie wkracza na scenę oczekujący wodą Dariusz Gnatowski – aktor o fundamentalnie przecież solidnej powierzchowności – by następnie śmiało wypuścić dobry litr cieczy, czyniąc tym samym wielkiej urody fontannę. Otóż – nie oszukujmy się – ten odkrywczy obrazek, ten gejzer humoru i popis reżyserskiej błyskotliwości musiał zachwycić byłego amerykańskiego wielorybnika. W końcu tryskający wodą aktor o fundamentalnie solidnej powierzchowności to jednak dużo więcej, niż tryskający wodą płetwal błękitny, który na dodatek był biały. A poza tym – wszystko po staremu. „Moby Dick”, „Moby Gnatowski” i „Wesołe kumoszki z Windsoru” Stuhra są w istocie o tym samym – o desperackiej walce człowieka z przeznaczeniem. Stuhr chwilowo przegrywa.

Gejzerów humoru jest jednak w Ludowym znacznie więcej. Choćby igraszki z brzuchem. Z faktu, że Falstaff, kluczowy bohater „Kumoszki...”, często klepie się po wielkim brzuchu, Stuhr wyciągnął nie tylko ten celny wniosek, że rolę winien zagrać aktor, który ma się po czym klepać. Stuhr pociągnął tę myśl i wpadł na koncept, że sam tylko tzw. „solidny sagan” najzupełniej wystarczy, że częste „walenie w bęben” udźwignie farsę Szekspira. W związku z tym właśnie konceptem Falstaff Gnatowskiego jest

w istocie nowohuckim perkusistą grającym na prywatnym kotle. Dokąd to doprowadziło? Niestety, reżyserowanie po wyrazistej linii brzucha Gnatowskiego doprowadziło donikąd. Cóż bowiem sensownego można powiedzieć o tych „Kumoszki...”, skoro o Falstaffie da się tylko tyle stwierdzić, że go było dobrze widać, nawet z bardzo daleka?

Następnym gejzerem okazuje się łagodne przejście z brzucha na schody. Stuhr nie byłby Stuhrem, gdyby nie wiedział, że gejzery trzeba czasem zmieniać, w związku z czym bywają chwile, kiedy Gnatowski nie klepie się po warunkach. Są to godne misternych konstrukcji Hitchcocka chwile, gdy Gnatowski gania po schodach. Wspominam mistrza od budowania napięć, albowiem owe schody są tak małe i kruche, że nie ma ludzkiej siły, by wytrzymały bezlitosne szarże naszego chwilowo nieczynnego perkusisty. Finalna katastrofa wydaje się tylko kwestią czasu, widzowi zaś pozostaje wciągający proceder robienia zakładów. Czy drewno podda się już teraz, czy może jednak w następnej rundzie? Tak się właśnie śmiesznie rzeczy mają z Gnatowskim na schodach, albowiem Stuhrowi doskonale znana jest stara zasada wytrwałych hodowców humoru, że im większy facet i mniejsze schody, tym kolosalniejszy dowcip fuzja taka generuje.

Gnatowski jako dorodny waleń, Gnatowski jako nowohucki perkusista, wreszcie Gnatowski w śmiertelnym zwarciu z wąskimi schodami. Dodać muszę dla porządku, że na samym końcu jest jeszcze Gnatowski jako jeleni, i to jaki! Słowem – darz bór, a ściślej – darz harpun, bo te wszystkie olśnienia, te i sto innych, wyskoczyły z głowy reżysera nastawionego najwyraźniej wielorybniczo. Stuhr reżyseruje Szekspira ręką dorodnego harpunnika, jak-

by „Kumoszki...” brał za Bóg raczy wiedzieć jak oporne, monstrialne zwierzę, na dodatek wykonane z ołowiu. Ile waży harpun? Nie wiem, podejrzewam, że z piętnaście kilo. „Kumoszki...” w Ludowym są porównywalnie subtelne.

W końcu i rzecz jasna nie czepiam się Gnatowskiego, nie twierdzę, że osobiście skrewił, nie – w końcu nie jego to wina, że nauczono go grzecznie słuchać reżysera. To samo, co o Gnatowskim, mógłbym powiedzieć o każdym z osobna i o wszystkich naraz. Ja nawet nie mam pretensji o te wszystkie pomysły i pomysliki, których już nie mam siły wymienić, a z których każdy zdumiewa smakiem i taktem scenicznym. Ja tylko nie mogę się nadziwić, jak można przez trzy godziny bez kwadransu zsywać prostą przecież anegdotkę nicią godną tylko lin cumowniczych? Widać można. Rzecz cała jest u Szekspira z grubsza o tym, że dwie rozgarnięte mieszczyki wyprowadzają w pole prowincjonalnego kochasia, zwanego Falstaffem. U Stuhra jest jeszcze prościej, jest całkiem jak w niesłychanie lotnych monologach Marcina Dańca. „Kumoszki...” w Ludowym są bowiem nudną historią o kretyńskim miasteczku, zamieszkałym przez kretynów, w której to mieścinie dwie kretynki robią z kretyna przyjezdnego kretyna dalej wprawdzie przyjezdnego, ale już znacznie większego. Przynajmniej tyle z tego wiadomo, że spektakl jest wyraźnie wycelowany w biura podróży, czyli że jednak komuś o coś tutaj chodzi. Dziękujemy.

Teatr Ludowy. William Shakespeare „Wesołe kumoszki z Windsoru”. Reżyseria Jerzy Stuhr. Scenografia Elżbieta Krywca. Muzyka Abel Korzeniowski.